

PAMIĘTNY ZJAZD W ZACZARNI *

Minęło wiele lat powojennych. Różnie potoczyły się losy osób z rodzin osadników z Weteranówki gm. Białozórka. Od czasu do czasu przypadkowo ktoś kogoś spotkał, ktoś do kogoś napisał, ktoś kogoś odwiedził. Stopniowo odnajdywano się, przekazywano sobie adresy i informacje, odgrzebywano stare fotografie, przypomniano sobie stare dzieje, lata dziecięce, szkolne i ciężkie lata wojny. Snuły się wspomnienia... I już nie ważne, kto rzucił pomysł:

zórczan - samorzutnie powstał komitet organizacyjny. Rozesłano listy i zaproszenia.

Szkopuł był jedynie w tym, że - bo dajże - wówczas nie godziło się powoływać tego zjazdu oficjalnie. Dlatego też, mając na uwadze dzień 15 sierpnia, jako dzień Matki Boskiej i imieniny Marii, pretekstem zjazdu licznych gości, mogły być imieniny pani Kutowej.

Już parę dni wcześniej, jako pierwsi przybyli tu: Stach Karczemny - jeden z



...Tyle minęło lat... autor zaprasza do wspólnego zdjęcia.

-Spotkajmy się jeszcze raz!

Edzio Kuta, który gospodarował na swojej ojcowiznie, we wsi Zaczarnie koło Tarnowa, zgodził się zaprosić do swojej rodzinnej wsi, i w swoje, skromne, ale gościnne progi, rozsiadanych po świecie i po całej Polsce byłych mieszkańców Weteranówki, niegdysiejszej osady na Wołyniu.

I tak, roku Pańskiego 1985, w Rzeszowie - gdzie zamieszkuje najwięcej biało-

głównych organizatorów owego, towarzyskiego spotkania - oraz autor niniejszej opowieści.

Przywitawszy się z Edziem, z jego rodziną i z jego żoną Weroniką, poszliśmy pokłonić się też pani Kutowej, która jakby czegoś szukając, wieloma dolegliwościami i wiekiem - mocno już ku ziemi pochylona, kręciła się koło kurnika. Zaskoczona nie-

spodziewaną wizytą zadreptała w miejscu, oparła się na kosturku i podniosła głowę.

Muniu!... Chodź bliżej - niechże ci się przyjrzę...

Ale jak ty się zmieniłeś? Postarzałeś bardzo! - mówiła cichym głosem, przyglądała mi się uważnie i wycierała fartuchem załawione oczy...

Akurat tego popołudnia - przed świętem Wniebowzięcia Matki Boskiej - wypadło Edziowi grać w kościele podczas uroczystości ślubnych. Ubrał się w czarny garnitur, wsadził sobie do kieszeni marynarki, oprawiony w czarną skórę, śpiewnik kościelny, zapalił motor, i zrobiwszy półrundę na podwórku, popędził w stronę Żukowiec czynić obowiązki organisty.

Po wieczornych obrządkach zebrali się cała Edzia rodzina. Porozsiadaliśmy się na ławie, pod gankiem, i przy wieczornym poczęstunku mogliśmy w miłym gronie posiedzieć i spokojnie pogadać o tym, jak ciężko żyje się nam w dużym mieście, i o tym, jak chłop wygodnie sobie śpi, a w polu i w oborze wszystko samo jemu rośnie...

Na drugi dzień - swoim samochodem - przyjechały dwie „nasze dziewczyny”: Danusia i Ziotka Burzówny. Rozpoczęły się intensywne przygotowania do tego, niebywałego, prawie że rodzinnego spotkania, a w efekcie tak wystawnie przyzykowanego, niczym na jakie weselisko.

Na tę okazję, specjalnie zamówiona kucharka - przy radzie i pomocy „naszych dziewcząt” - przyrządzała smakowitości wiejskiej kuchni. Odbyło się też świniobicie, a miejscowy mistrz wędliniarski porobił kiełbasy i boczki, które autor niniejszej opowieści - aczkolwiek po raz pierwszy w życiu to robił - doskonale uwędził, w urządzonej przez Edzia, połowej wędzarni.

W pobliżu domu wzdłuż płotu, prze-myślnie zmontowaliśmy -zaprojektowaną przez Edzia - długą, 10-metrową, zadaszoną altanę, którą umailiśmy dębowymi gałęziami. Od frontu - na jej szczycie - umieścili-

śmy duży - przygotowany przez Staszka - napis:

WITAJCIE BIAŁOZÓRCZANIE

1939 - 1985

W oczekiwaniu licznych gości, wewnątrz służącej do ochrony przed słońcem i deszczem altany, ustawiono trzy długie stoły i solidne ławy. Całe obejście zostało zespołowo starannie zamiecione i zagrabione, a kury i kaczki - na tenże czas miały zabronione wejście na to duże, trawiaste podwórko...

Już w piątek wieczorem zaczęli przybywać pierwsi goście, wśród których Zbyszek Bosak-Bosakowski przybył tu pod opieką Wandy - własnej małżonki. A w sobotę, z samego rana, przywędrował Stasio Gubernat. On - niczym pielgrzym - umordowany długą drogą, w drewnianym cebrzyku mocząc umęczone i chore nogi, powiedział: „Moi drodzy - ażeby spotkać się z wami, to przyszedłbym tu nawet na piechotę”!

My, którzy przybyliśmy tam wcześniej, na czele z Edziem - gospodarzem domu i naszego spotkania - podchodziliśmy do otwartych wciąż wrót, aby witać nadjeżdżających gości. A widząc, przygasłe wiekiem i przeżyciami, obce nam twarze i głowy przyprószone siwizną, pytaliśmy:

- Kogo witamy?...

- A kto nas wita? - brzmiały odpowiedzi...

I tak, w momencie powitania, ze łzami w oczach, poznawaliśmy się od nowa...

Jeden z przybyłych - patrząc też pytająco na mnie - powiedział: - Jestem Mietek Kawa...

Ostatni raz widziałem go owego mroźnego, zimowego poranka, 10 lutego 1940 roku. Miał on wtedy - tak, jak i ja - 12 lat. Byłem wówczas w ich domu w Hnili-cach. Była to godzina rozpaczy i łez...

I teraz - bez łez nie obeszło się - natomiast - brakło nam słów...

Stopniowo przybywają następni goście. Podwórko zapełnia się ludźmi i samo-

chodami. Rodzina pp. Domańskich, razem z Ich Panią Matką, - Marią Domańską - dawniej sąsiadką i przyjaciółką mojej Matki - oraz jej córką Łodzią - moją koleżanką z jednej klasy - we dwa wozy, a w siedem osób, zaszczyliła to nasze spotkanie.

I tak - z owych, kiedyś 63 rodzin z Weteranówki - zebrało się tu 46 osób, wśród których - oprócz tych „młodszych” z drugiego pokolenia i ich dzieci - znalazły się również trzy nasze Mamy; tj. p. Maria Kutowa, p. Agata Borowcowa i p. Maria Domańska oraz dwaj seniorzy: pp. Kazimierz Gubernat i nasz gość z Belinówki, Władysław Wolski.



Spotkanie białozórczan u Edzia Kutya w Zaczarniu.

Oto ci, którzy w latach dwudziestych - tak, jak i nasi rodzice - osiedlili się na Kresach Wschodnich i na otrzymanej od państwa, gołej ziemi, rozpoczęli gospodarowanie, a swojej osadzie nadali imię „Weteranówka”...

Nieco posiliwszy się - wielce szczęśliwi, że po 46 latach mogliśmy się znów

spotkać poroziadaliśmy się na krzesłach, taboretach i ławach, poustawianych w zacisznym podwórku - utworzyliśmy jeden wspólny krąg.

A opowiadaniom nie było końca! Na kolanach albumy pełne zdjęć... Te jeszcze sprzed wojny - cała nasza rodzina przed własnym domem, my - małe jeszcze dzieciaki... To grupa osadników przy budowie studni. A to przed kościołem św. Rocha: ksiądz Roman Jałochło odprawia mszę świętą, na polowym ołtarzu widać monstrancję i tebernakulum. A to przy krzyżu - pomniku legionistów. To grupa osadników koło organistówki. Ten pierwszy z lewej, to

organista Simiński, zamordowany z całą rodziną przez banderowców w 1943 roku.

Są też nasze zbiorowe zdjęcia z lat szkolnych: od komunii świętej i w szkolnej klasie - na ścianach portrety marszałka Piłsudskiego i prezydenta Ignacego Mościckiego.

Następne już z lat wojny: zesłańcy przed chatą w Oziernkach i przy pracy w tajdze. A to przy grobie pochowanej tam babci, Honoraty Stochlińskiej...

Ale najwięcej zdjęć jest już powojennych. Biorę do ręki jedno z nich. Ten starszawy pan, w otoczeniu dzieci i wnuków - to ja... Spoglądamy po sobie... - Ech - lża się w oku kręci! - Czas nie oszczędził nikogo... - „Gdzież są chłopcy z tamtych lat”!... I „nasze dziewczyny” - które w 1939 miały zaledwie, lub nieco więcej ponad 10 lat... A teraz?

Młodość, niestety, dawno nam już minęła, pozostała nam tylko piękność... - skomentowała Danusia Burz.

Pochylamy się jeszcze nad albumami, twarze pełne wzruszenia, chwile zadumy - na przemian - uśmiech i lży... Lży spływają po twarzach i kapią na karty albumów...

Staszek stoi obok z aparatem fotograficznym i to co widzi, uwiecznia na kliszy aparatu - rejestruje na gorąco - jutro będzie to już historia. Album zapelni nowymi zdjęciami. Dziesiątki razy będziemy je oglądać, wspominać to spotkanie, cieszyć się i płakać...

Ale czas już na obiad. Pod prowizorycznym zadaszeniem, przy długich stołach, przykrytych białymi obrusami - po obu ich stronach, na długich, zmontowanych z desek ławach, zasiadło razem prawie 50 osób! Edzio Kuta wita, przybyłych w jego progi, bliskich i drogich mu gości. Potem głos oddaje koledze Satkowi Borowcowi - profesorowi ze Szczecina - który w podziękę gospodarzom za gościnę - w imieniu przybyłych tu białozórczan - przekazuje Edziowi obraz Matki Boskiej Częstochowskiej...

Na stołach kwiaty z ogrodu Weroniki i biało-czerwone wiązanki dla trzech Naszych Mam i dwóch Ojców... Wyrzuciły butelki szampana, wzniesiono toast za zdrowie wszystkich kresowiaków: i tych tu obecnych i tych - rozsianych gdzieś tam po całym świecie. I jeszcze minuta głębokiej

ciszy - za tych, co od nas, już na zawsze odeszli...

Mimo woli cisną się lży. Żona Edzia - pełniąca honory pani domu - i jego siostra Teresa, stoją jeszcze na ganku. Przyglądają się przybyłym tu do nich gościom. Przyjęli ich w środku lata - w trakcie nie ukończonych jeszcze całkiem żniw. Ale - czegoś takiego - jeszcze tu nie było...! Tych wzruszeń i tej spontanicznej serdeczności - nie da się opisać...

Po obiedzie, zgromadziwszy się nad małym stawem, robimy pamiątkowe zdjęcia. Potem małymi grupkami rozchodzimy się po łące i długo gawędzimy o swoich sprawach.

W tym czasie Edzio przygotowuje następny punkt programu. Na małej polance - okolonej dziko rosnącymi drzewami - z synem Rysiem układają z gałęzi wysoki stos. Na świętych olchowych kłocach przygotowujemy z desek prowizoryczne ławy.

Nadchodzi wieczór. Rozsiadamy się wokół rozpalonego ogniska. Na przygotowanym stole stoi duży żelaźniak z pachnącym, gorącym bigosem. Jest chleb i napoje chłodzące. Z rozbuzowanego ogniska bije gorąc. Na długich patykach przypiekamy kawałki kielbasy, a dzięki zapobiegliwości Staszka - nie zabrakło też i polskiej, czystej „wyborowej”...

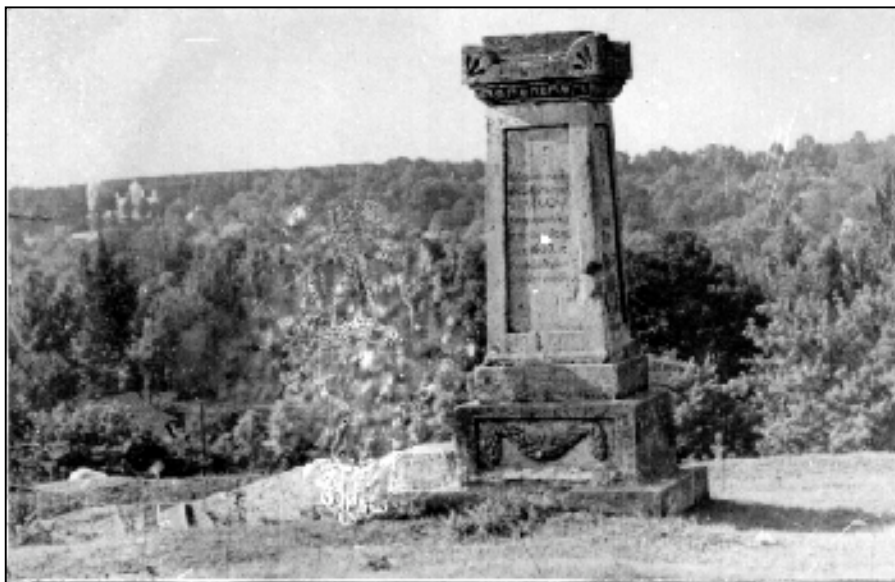
Robi się noc. Do wypalającego się stosu - na rozżarzone polana - dorzucamy przygotowane gałęzie. Wysoko buchnęły gęste snopy iskier, a po szerokiej łące, pod usianym gwiazdami niebem, poniósł się chóralny śpiew: „Płonie ognisko i szumią knieje”. Wszyscy pamiętają te dawne polskie piosenki; i te legionowe - śpiewane niegdyś przez naszych rodziców: „O mój rozmarynie rozwijaj się”, „Rozkwitały pąki białych róż”, „Wojenko, wojenko” i tę starą, kresową balladę: „Na Podolu leży kamień, podolanka siedzi na niem”... Były też opowieści wojenne i strofy liryczne, i wiersze szkolne, i te - co w serce zapadły głęboko... O północy ognisko powoli przygasa, gęsta

mgła snuje się po łące, a w nocnej ciszy rozlega się jeszcze ostatnia strofa: „Na stos, rzuciliśmy, swój życia los, na stos na stos”.

W stodole, na wyścielonym świeżym sianem boisku, na poszykowanych naprędce legowiskach, długo jeszcze w noc słychać przyciszone rozmowy. Pachnie tu sianem i świeżo zwiezionym z pola zbożem...

ofiarowany przez nas Edziowi i Weronice na pamiątkę naszego spotkania.

O godzinie 11 rozpoczyna się uroczyste nabożeństwo. Na chórze zabrzmiały organy i rozległ się Edzia donośny głos: „Pod Twoją obronę, Ojcze na niebie”! Ksiądz proboszcz, w asyście 12 ministrantów, wchodzi na stopnie ołtarza. Mszę św.



Smutne resztki polskości w Białozórcze. Szczątki pomnika, który stał na cmentarzu przed kościołem. Napis na cokole: „Złożone zwłoki Katarzyny z..... zgasłej dn. 19 jul. 1639. Przechodniu złóż jej modły”. Podobno był to pomnik założycielki cmentarza i kaplicy cmentarnej. W głębi po lewej widać cerkiew.

Nazajutrz, w niedzielę - 18 sierpnia po wspólnym śniadaniu, zjedzonym na wolnym powietrzu, odświętnie ubrani, udajemy się do odległego o 3 km kościoła w Żukowicach. Edzio - tak jak w każdą niedzielę i święta - jest tu już od samego rana. Rozsiadamy się po lewej stronie nawy, w zarezerwowanych dla nas ławkach. Na ołtarzu wśród dużych bukietów białoczerwonych róż, stoi przepasany białoczerwoną wstążką obraz Matki Boskiej,

odprawia w intencji żyjących i nieżyjących byłych mieszkańców osady Weteranówki i wygłasza okolicznościowe kazanie, w którym nawiązuje do naszych losów tułaczych, wytrwaniu w wierze ojców i miłości do Ojczyzny. Wiele osób płacze, wiele przystępuje do komunii św. Dla wszystkich białozórczan, ta podniosła uroczystość - to wielkie przeżycie... Miejscowi parafianie z uszanowaniem i uznaniem spoglądają w naszą stronę.

A kiedy w kościele rozległ się jeszcze głos organów i głos Edzia: „Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród” - nie dało rady - łzy jak groch potoczyły się po policzkach białozórczan.

Obiad na nas już czekał. Wszyscy razem zasiedli do obficie zastawionego jadłem stołu. Honorowe miejsce zajął ksiądz, który odprawiał poświęcone nam nabożeństwo. Chętnie przybył na ten uroczysty i już pożegnalny, wspólny obiad, który upłynął w atmosferze rozstania, zapewnień wzajemnych odwiedzin i nadziei - że się jeszcze może kiedyś skrzyknjemy...

Strzelają butelki szampana i rozlega się gromkie „Sto lat” dla księdza proboszcza, naszego honorowego gościa. Jeszcze ostatnie grupowe zdjęcia, ostatnie rozmowy,

pocałunki i wymiana adresów. Jeszcze podziękowanie gospodarzom za poniesione przez nich trudy, i ogólne, serdeczne - im - „Bóg zapłać”! Jeszcze Weronika szykuje każdemu na drogę smakowity prowiant i o godz. 17 - komu w drogę, temu czas...

Tak oto kończy się historia Weteranówki... Z naszej dawnej osady nie pozostało ani śladu - dziś żyje jedynie w naszych sercach i wspomnieniach.

* Powyższa relacja jest fragmentem pracy nadesłanej na konkurs „Moja wojenna tułaczka”, organizowany przez Redakcję „Zielonego Sztandaru”, Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”, Wyd. „Polonia”, Wyd. „Bellona”, Wojskowy Instytut Historyczny i Zakł. Ruchu Ludowego, która w październiku 1990 r. otrzymała II nagrodę.